

Leon Szereszewski

D r o g a

IGNIS



A-10349

Biblioteka
U.M.C.S.
w Lublinie

K 643/55/53

SKŁADY GŁÓWNE:

POZNAŃ: *Fiszer i Majewski* — ŁÓDŹ: *Ludwik Fiszer*

LWÓW: *H. Altenberg*



1000173404

~~3083~~ 50
3083

LEON SZERESZEWSKI

D R O G A

Z NOTATNIKA ŻOŁNIERZA

Bolesław Banach

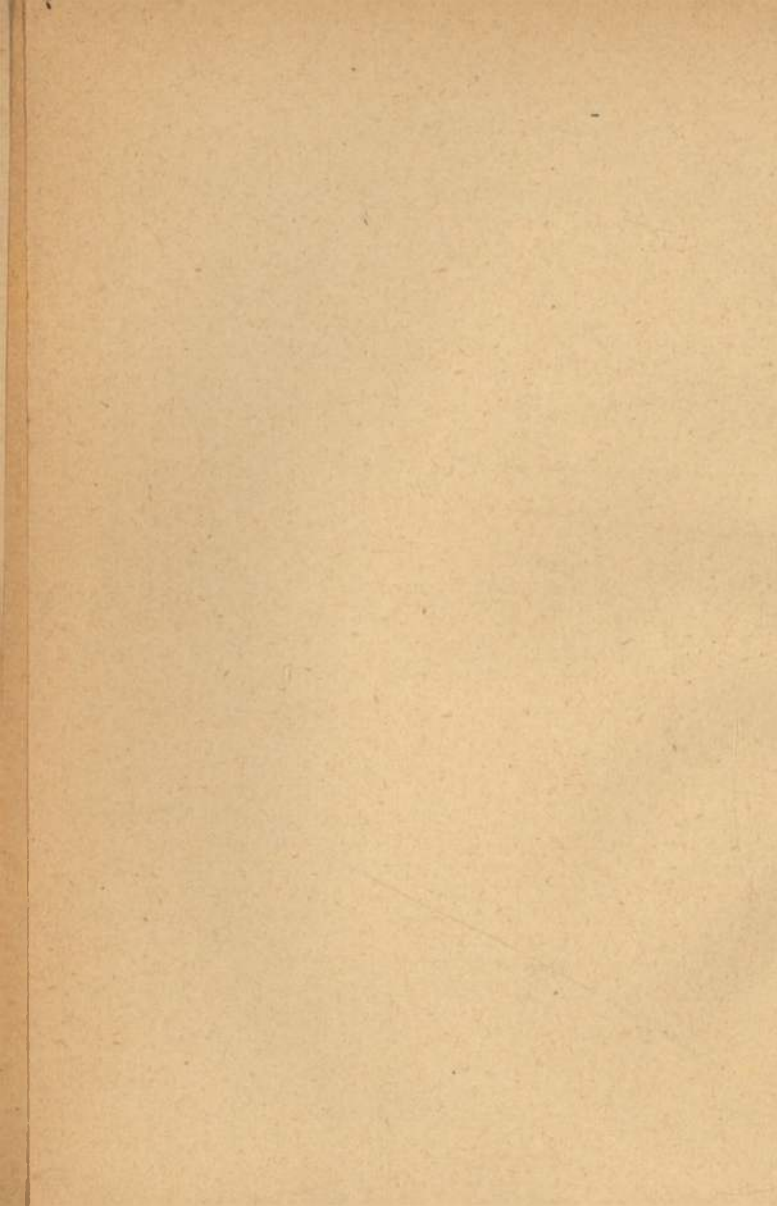
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS” SP. AKC.
TORUŃ — WARSZAWA — SIEDLCE

Odbito 2.000 egzemplarzy
w drukarni J. Burtana
w Warszawie
1922

323

lit. 13a

W POLU



KRWAWA DROGA. — Trupy i mogiły wskazują nam drogę naprzód... Wszędy nieforemne, ciężkie bryły, jakieś zmiętoszone i wykrzywione masy. Ostatni krzyk, czy prośba—może przekleństwo—grają jeszcze w powietrzu i pędzą nas w świat. Ramiona zwykłych, zgruba ciosanych krzyżów ruchem nieugiętym ślą wdał, przed się, kędy załamało się ich życie, — pchają w przestrzeń, która ich nęciła i wołała...

Idziemy, zahypnotyzowani nakazem grobów, oświeceni ich przejrzystą nauką. Jasnym i bezprzecznym pewnym staje się nasze przeznaczenie —

Tam, gdzieś w przestrzeni, sami staniemy się drogowskazami dla pozostałych w tyle; — ostaniemy się, trwać będziemy w krzyku, który pędzić ich będzie naprzód — ku ułudzie Lepszego Jutra...

PIERWSZY KROK. — ...Zabiłem dziś człowieka Pierwszy w mojej karierze. Przyczołgał się pod nasze placówki... Celowałem dobrze — miałem dość czasu — i — nie krzyknął, tylko jakoś przylgnął do ziemi, spłaszczyl się, zmalal i znieruchomiał. Jakby w pocałunku...

Brr...

Starszy już był, siwawy. Poczciwie wyglądał — z oczyma jasnymi, lekkim uśmiechem i szpakowatą bródką. Tak bardzo niegroźnie, że — wstyd mi było...

Szukałem w jego twarzy czegoś odpychającego, niemiłego wreszcie — pragnąłem wroga znaleźć... Cóżbym dał, gdyby zdobył się jeszcze na przekleństwo lub groźbę, choćby na lekki wyrzut. Ale nie — leżał spokojnie, cicho, poczciwie — z oczyma jasnymi, lekkim uśmiechem i szpakowatą bródką...

Nie wiedziałem co zrobić z sobą — byłem nieswój. Kręciłem się — włóczyłem po wszystkich kątach — jakbym policzek czuł na twarzy. Coś mnie paliło... coś w oczy spoglądało — jakieś słowo, znak — pełne treści nieznaney, a przecież (była ta świadomość) głębokiej i cennej... Coś błąkało się wokół mnie, domagało się poznania, narzucało z siłą fatalną, niepowstrzymaną; coś drobnego i wiel-

kiego zarazem, co mną było, mą treścią, prawdą i wiarą... Coś, co wiązało mnie z nieznanym — z jego łagodnym spojrzeniem, oczyma jasnymi i małymi, lekkim uśmiechem i szpakowatą bródką...

...I naraz — jak błyskawica — z małych, jasnych oczu, z lekkiego uśmiechu i bródki szpakowatej — spojrzała na mnie groźna twarz ojca...

AKLIMATYZACJA. — Wojna... Po djabła łzy i płacz — i to coś, co w sercu zżyma się i krzyczy — i to coś, co modli się i wierzy — co tęskni, cierpi, czuje... Jedyna święta prawda — bez ceregieli —

Buch go w mordę! Czemu nie?! Anim brat, anim swat...

Inaczej — przejdzie po tobie ten potwór groźny — bóstwo garbate i ślepe — bez myśli, bez cienia żalu i zmiążdży, zdławi. Po djabła to wszystko —

Buch go w mordę! Czemu nie?

Ajda! Rozweselimy się! Krew mi gra — dzisiaj ty, jutro ja — co się da, jak się da —

— A muzyczka tirli — tirli...

.....

A wieczorem, kiedy wszyscy śpią, a ja spać nie mogę, — kiedy zostaje sam z sobą — łamie się coś we mnie i druzgocze. By nie krzyczeć, wpijam się zębami w słomę cuchnącą i tak trwam — nierucho-my, zmartwiały...

KARABIN MASZYNOWY. — ...Trzeszczy, stuka...
Wciąż tak samo, — wciąż, bez końca... Ciągłe wkół-
ko — jak maszyna — bez wytchnienia — bez od-
dechu...

Dosyć! dosyć! Boże drogi! — tak bez końca?
godzinami?

Sił już nie mam. Jakby gwoździe w czaszkę
wbijał... Boli — dręczy — krwawi — pali... Coś
się w mózgu moim łamie — głowa, Jezu, głowa
boli...

Patrz — już słońce dawno zaszło. Niedźwie-
dzica świecić będzie... Noc dziś jasna, księżycowa;
Mleczna Droga wnet zabłyśnie... Byle tylko — byle
tylko — choć na chwilkę, na małą...

Przyszłeś tutaj męczyć ludzi? Bez uśmiechu i bez
złości? Krzycz przynajmniej, skowycz, waruj — śmiej
się, chichocz, — wrzeszcz, przeklinaj — psiekrwie,
juchyl — psiekrwie, juchyl — byle tylko, byle tyl-
ko — nie tak samo, wciąż to samo — jednakowo —
jednostajnie — bez radości i bez bólu — bez uśmie-
chu i bez złości...

SŁOŃCE. — ... Nie wiem, czy tą stąpnąć nogą—czy inną; czy tą pójść ścieżką, czy tamtą... Nie wiem, czy obrócić się w prawą stronę, czy w lewą. Nic nie wiem... Czekam na znak — i nie wiem skąd ma przyjść...

Nie wiem, po której stronie przyczaiło się zbawienie — a po której przepaść. I nie wiem, jak ją ominąć i czy ją ominąć można... I nie wiem gdzie jest Bóg...

Jestem bezradny i nic zrobić nie mogę...

Ale gdy słońce zabłyśnie na niebie i padną na mnie promienie czerwone, fioletowe i znów czerwone — chwytam je w dłoń, piaseczkę i całuję... Stoję zachwycony, radosny i upojony... I pewien jestem swych przyszłych dróg...

CICHY GŁOS. — Chłopcy, dobijcie... dobijcie...

Wróg na karku. Ucieczka pod gradem kul.
Byleby dotrzeć do sąsiedniej wioski.

— Dobijcie... dobijcie...

Ranny komendant. W oczach paniczny strach przed zbliżającą się nawałą, przed jutrem udręki i niedoli. Nie o ratunek już chodzi.

Leży na drodze. Mija go bataljon — jego chłopcy — jego smarkacze... I każdego ściga szept, rzężenie czy charczenie — rozpacz...

Nie przystanął żaden. Cichy głos nie wpijał się w świadomość, nie zniewalał, nie miał mocy twórczej, by myśl pobudzić: co zrobić z rannym komendantem. Głos inny — potężny i złowrogi — opłynał świadomość.

Wróg był na karku.

BOHATER. — Przytulił się gdzieś w kącie—przyłgnał do ziemi. Drżącemi rękoma ujął karabin—oczy—ma zerka — strzela przed się, naoslep, w świat. Każden świst dreszczem przeszywa jego istotę—kurczy się, w kłębek zwija, bardziej jeszcze małym się staje. Nie chciałby istnieć...

A tak... Ślepy los rzucił jego życie na te obumarłe pola... Jest zabawką, ktoś igra nim... Przypadek wykreśli go z pośród żyjących... Pierwsza lepsza kula, — marny ruch ciała i już... koniec... A w tym piekle cóż on zdziałać może, on — mizerny pionek... Zresztą, raz się tylko żyje...

Nagle...

A tak — psiakrew — raz się żyje — i raz zdycha... Byleby z werwą — do cholery! Byleby przedtem pomocować się, zmagać, bić i bronić... Byleby...

Naprzód wiaral

DZIECI. — Gdzieś i kiedyś bataljon młodzieży szkolnej ruszył na wroga. Warczał bęben, małe ręce ścisnęły kolby karabinów — pod bojowym hełmem trzepotały błękitne oczy...

Allons enfants...

Mżyły się bohaterstwa i cuda waleczności. Zdobyte sztandary i legje honorowe i uścisk żołnierskiej dłoni...

Allons enfants...

Dla ojczyzny, dla chwały! Choćby przez krew własną — przez wieczne z domem rozstanie — przez bolesną skargę matki...

Mamol! Choćby przez ostatnie z tobą pożegnanie...

Coś trzeszczy — łomocze, syczy. Bez końca — i tu — i tam... W uszach pełno tego drażniącego dźwięku, krótkiego, niepokojącego... Jest on wszędzie — pierścieniem żelaznym okrąża mózg i duszę — i sławę i bohaterstwo — bez wyjścia, bez ratunku...

Mamol! Mamol!

Z ciężkimi karabinami, w hełmach stalowych stoją w polu, błękitnymi źrenicami śmierć wypatrują i...

...W wichurę walki wplata się nuta nowa, by utworzyć przedziwną symfonię życia i śmierci, by wyrzut cisnąć do nóg Świata Porządku. Podobno wrogom broń z rąk wypadła. Tak twierdzą marzyciele...

CIEŻKI SEN. — ...Rzucony w przestrzeń, zawisłem między ziemią a niebem. Wpatrzony w isierki mijających światów, trwałem w nieskończoności, dumny i wielki, rozkochany w nieśmiertelności — umarły...

Wszehwładny przystąpił do mnie i wskazując małą gwiazdę, rzekł:

— Musisz wrócić...

Przed oczyma przesunął odblask krwi i pożogi, w uszach zawrzało echo wrzasków, jęków, krzyków. Melodja ziemi dotarła do mnie...

— Nie — krzyknąłem i... obudziłem się...

OBJAWIENIE. — Zimno... Zimno...

Krzyk zatraconej duszy — marność ginącego człowieka. Prośba o ratunek rzucona w pustkę, skarga do Wszechwidzącego...

Zimno...

Leży, bezsilny kawał ciała i jęczy, skomli o li-
tość...

Ludzie... Ludzie... Hanuś moja...

Słońce — i śnieg biały — przejrzysty, iskrzą-
cy — bez końca, bez końca... A po nim wiatr węd-
ruje i gwizdże i hula —

Hihil

(Hanuś moja!)

...Tuli, pieści — każdy palec, ręce, nogi...
Ciepło, dobrze...

Hanuś drogał Weź tę wiąznię — fijołeczki...
Dziś rozkwitły — na mej piersi... Patrz, czerwone,
czerwieniutki...

Hihil

Wiatr wędruje — hula — męczy...

Zimno... Zimno...

...I nagle — zapowiedź szczęścia, ciepło do-
mowego ogniska... Nareszcie — człowiek...

— O bracie ty mój kochany! Zimno mi... zi-
mno...

Anioł opiekuńczy pochyla się nad krwawym
kłębkim. Za chwilę okryje go swym płaszczem —
ogrzeje...

(Bracie ty mój!)

Święty Boże! Co on robił

Oczy śledzą — błędzą... Sen — mara... Krwa-
wa chusta świat zasłania — na pierś zmora siadła...
Dławi, dusi...

Złodziej!

A potem — zamyka oczy i milczy — nie skarży
się więcej, nie jęczy. Pojął zagadkę bytu i z ra-
dosnym spokojem oddaje się w moc Nieznanej Ta-
jemnicy...

ATAK. — ...Pędzić naprzód, naprzód... Jeszcze dalej... ciągle dalej... aż pod wzgórek... Już niedługo — pędzej, pędzej...

...Szumi w uszach... czasem dźwięczy... jeszcze dalej... pędzej, pędzej... Aż pod lasek... w uszach szumi — teraz dźwięczy... szumi... szumi...

...To anioły rozmodlone... to bagnety oskrzydłone... a tam Pan Bóg... Panie Boże, wielki Boże... już niedługo... Panie Boże — my anioły — zaraz koniec — a bagnety — szumi, szumi — dla miłości, dla ludzkości...

...A gdzie miłość — a gdzie słońce?... Już za chwilę — lasek, wzgórek... Teraz trzeba — jedną chwilę — bagnet silnie — z góry na dół... z dołu w górę...

...Niebo... słońce... coś się dzieje... Światło gaśnie — lasek, wzgórek... ciemno, zimno... ginie wszystko... Cosik jęczy i coś płacze... Moja matka — matuleńka — słodka matka — matuleńka... teraz bagnet silnie naprzód — z góry na dół, z dołu w górę... moja matka — Święty Boże! — umrze kiedyś moja matka, umrze kiedyś matuleńka...

POŻEGNANIE. — ...Wśród szczyku i łoskotu, wśród wilgoci i smrodu niema czasu na ciche słowa. W świat bieżą pociągi — jeden, dziesiąty... Mkną w przestworze, czegoś szukają, chcą lot zakończyć. Aż gdzieś w ludzkich mięśniach i kościach odnajdą wieczny odpoczynek...

Wiemy, kiedy się to stanie... Niewidzialnymi nitkami związani jesteśmy z kulą, misterne linie znaczą jej bieg w naszej świadomości. I wtedy — jednocześnie z wsiąkającą w ziemię krwią wzbija się ku słońcu żołnierskie pożegnanie. Myślą zamykamy mu oczy, kładziemy na ustach ostatni pocałunek —

— Niech ci ziemia lekką będzie, przyjacielu...

ZWYCIĘSTWO. — Krwią zbroczony, pokłuty pada tuż obok dogorywającego wroga...

Czepia się życia ostatkiem sił i nerwów, całym chceniem i pożądaniem. Potężnie przemawia świadomość, iż niema ratunku poza zwycięstwem... Zre-szta, krwiste kręgi zasłaniają jasne widzenie oczu... ciężar i otumanienie głowy... zgiełk, łoskot i impet walki...

Wróg...

Przywarł do niego. Wytężył mięśnie, by zmiażdżyć obce życie. Dusi, drapie, tarmosi... Palce wczepiły się w gardło — coraz bardziej, silniej...

Rozkosz opanowywa go wraz z zamieraniem ciała... Słoneczne krainy migocą w źrenicach... naoścież otworzą się wrota... wejdzie on, szczęśliwiec, w blasku chwały... Wejdzie w tęczy radości, w bladej poźłocie księżycy... Okrzyk triumfu, złowieszczy chichot wydziera się z gardzieli...

I z wielką zdobyczą — z trupem w zaciśniętych ramionach puka do Bram Niebieskich...

ŚMIERĆ. — ... Rznij, bij — duś — morduj... Miażdż
głowę kolbą, bagnetem wedrzyj się w pierś — szarp
póki sił starczy — krwią rzygaj — kop i pluj...

Ja to samo robię... Rozwydrzyły się moje ręce —
palce kurczą się do twojej grdyki — chcą dusić —
rznąć — psiakrew...

A potem głowa ci się w tył przechyli, oczy
mgłą zajdą — coś dziwnego na ustach siądzie, roz-
chyli je...

Ja przy tobie... głowa mi się w tył przechyli
— coś dziwnego na ustach siądzie...

Ave Maryal

ROZPAMIĘTYWANIA WIECZORNE. — Dzisiaj wystrzeliłem dwieście naboí. Pracowałem bez wytchnienia — sprawnie i szybko. Spełniałem ka¿den rozkaz — bez pamięci i myśli o sobie...

Tylem zrobił dla obowiązku, który mnie tu powołał...

A gdzieś tam — w obcych wedetach — padł od mej kuli jeden — drugi — dziesiąty... Przez małeńką ranę na piersi sączy się krew — wolno — wolniuteńko — strugą czerwoną — bez końca... Kropla za kroplą sączy się krew z małeńskiej rany na piersi... wsiąka w ziemię... do ostatniej — do najmniejszej...

Tylem zrobił dla siebie...

MIEŁOŚĆ. — Zrzuciłem z siebie ciężar twych cichych słów, z pamięci wyrwałem oczy twe — i włosy — i uśmiech serdeczny. Byłem wolny, — wyciągnąłem ramiona ku słońcu — w przestrzeń — ku wieczności...

Byłem samotny — i radosny...

Powiedziałas, że wrócę — kiedyś jeszcze —

Wracam dziś... na chwilę... Bo czekają mnie inne drogi — inne światy... Muszę się śpieszyć.

A tak — w nieskończoność...

Jeszcze mnie ostatnia kropla krwi wstrzymuje — oczy twe — i włosy — i uśmiech serdeczny. Pieszczę i po stokroć razy powtarzam twe imię — twe słodkie imię...

Szukać je będę wśród swej nowej drogi —

I wiem — smutek mnie czeka. Bo samotny będę wśród miliona gwiazd, wśród światów dalekich i słońc, — bo mnie porzucą i zapomną oczy twe — i włosy — i uśmiech serdeczny...

UKOJENIE. — Niesamowitym blaskiem płonie
wzrok, iskrzy się zły ogień. Usta skrzywiły się
i okrzyk krótki, urywany, bez sensu i znaczenia
przeszywa powietrze. Postać zgięła się do skoku
— chce wroga chwycić, dusić... Nozdrza czegoś
pragną, węższą...

Krwi...

Szczęk — łoskot... Syk ukrytych gadzin—drażni
nerwy, wrzyna się w szpik — w mózg — i podju-
dza, męczy...

Huzial Hejl

Chichot... Złowieszczy, jak zgrzyt starego żela-
ziwa... i prośba —

Jezus! Marja!...

...Taki los przeklęty, beznadziejny —
tak człowieka męczą — duszą —

Hanus! mojal — Hanus! —

Tak człowieka męczą...

Zrazu cisza — samotność — ukojenie —

...Gwarzyć będziem przy kominku... Wieczór
cały i noc całą... Słońce wszędzie, — dzień za-
świeci — bez ratunku — bez nadziei... A my cią-
gle przy kominku — wieczór cały — wieczność ca-
łą — wieczność całą...

KRZYŻ. — Poprzez stratowane i martwe ugory,
przez pas Ciszy i Śmierci, przez ten szmat ziemi
zmarnowany — wyciągamy ku sobie dłonie. W dwu
wrogich okopach, w szańcach odwiecznej nienawiści
i przekleństwa ktoś nas pozdrowił uśmiechem ła-
godnym i prawdy nowej nauczał. Byliśmy sami —
ja i ty — a nad nami Wielki Bóg...

Przez pole Ciszy i Śmierci, z krańców obcych
światów, biegnie ku Niemu myśl nasza — by tam
— w bezkresach, u stóp Jego spotkać się i pozdrowić.
Jesteśmy ramionami wszechludzkiego krzyża, który
wzniósł się nad ziemią, poprzez pola Ciszy i Śmierci
i odwiecznej nienawiści —

ja i ty — i nad nami Wielki Bóg...

Między szańcami wrogiemi — wśród pola Ciszy
i Śmierci — wznosi się ku górze nasz męczeński
krzyż. W męce i bólu — w radości i ukojeniu —
z piołunem w ustach i skraj szczęścia w oczach nad
światem wyciągamy ramiona — i słowa cichemi
błogosławimy chwili wiedzy radosnej —

ja i ty — i nad nami Wielki Bóg...

NADZIEJA. — Byleby wytrwać... Godzinę jeszcze,
dwie — a pomoc nadejdzie...

Chłopcy! tak powiedzieli... nie zapomną o nas...
tam śmierć... bić się do ostatka...

Pierścień wroga zaciska się coraz bardziej. Idą
— suną — czołgają się. Na gniazdo lwów odciętych
od reszty świata.

Byleby wytrwać — jeszcze godzinę...

Skądś płyną nowe siły, — znużone ręce za-
ciskają broń — pierś się unosi. Twarze surowe,
poważne, nabrzmiałe jakąś mądrością rozpaczliwą,
ostateczną. Tylko w oczach — czasami — buchnie
śmiech i radość nadziei — i znów zgaśnie...

Nie widać... Nie idą...

A zewsząd — jak w śnie zmory pełnym — zbli-
ża się widmo pokraczne, rozbestwione, — nadciąga
już pijana przyszłą władzą bestja. Czyha, krwi
żądna, — chce krew chłepać, żłopać, pić...

Zaraz, zaraz, chłopaczki...

Chwile dłużą się, wloką w nieskończoność.
Opór płonie ostatkiem sił.

I nagle — okrzyk pełen słońca i życia —

Nasil nasil nasi idą!...

Tak... Podjazd wysunął się blisko... tam dalej
migają bagnety — i tam — i tam —

Za chwilę tu będą. O bądźcie...

...Nie. To wróg otrzymał posiłki...

W NIEWOLI

JENŃCY. — Jeszcze przed chwilą byli bohaterami. Borykali się, kąsali i szarpali... Majaczyło się zwycięstwo, triumf... Niepomni na nic szli na śmierć;— żądni walki i krwi — ginęli, marli...

Teraz...

Obdarci, pobici... Już nie tęsknią do czynu. Rozgościł się w nich strach, — ręce opadły, mięśnie nóg dygocą, głos cichy wydobywa się z gardzieli... Trwoga rozwiązała języki...

Psia uległość jest religją — skomlą o litość. Plują na swe marzenia, na zawrotne chwile walki. Szydzą z siebie samych, z krwi przelanej, z wizji tęczowej chwały...

Przeklęli życie dawne, by pod nowym stygmatem rozpocząć dzień jutrzejszy. Spodleni, zapomnieli o Sobie, — z uśmiechem wyciągają szyje, by włożyć jarzmo niewoli...

A przecież... niepomni na nic szli na śmierć...

UPADEK. — ...Chodziło o to, by Białego Orła nazwać białym kogutem...

Nigdy!

...Słowa dziwne, tajemnicze, w zimowy wieczór powtarzane. Dłoni uścisk i przysięga. Honor—wiera — i łza matki. I zwycięstwo wymarzone, ukochane...

Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Zachichotało coś złowrogo — beznadziejnie...

Jakaś struna szarpnęła się — i skostniała...

Nazwali.

Pozostał już tylko rumieniec watydu...

JEDNA CHWILA. — Raptownie uniosła się lufa karabinu. Rozbestwiony żołdak... mierzy w pierś... Padnie strzał — za chwilę — za małą chwilę...

Spojrzał w oczy Matki...

Ujrzał roziskrzone, płonące niebo z Wielką Niedźwiedzicą i Orionem i Syrjuszem i Drogą Mleczną — potem obłoki jasne, dalekie — i siebie pod niemi — dziecko — młodzieńca — mężczyznę...

Rozżarzyło się słońce — spłomieniło — i zgasło...

— Teraz... jestem gotów!

PAJACE. — Dla wrzasków gawiedzi, dla chichotu starców i dzieci, dla uczyty zidjociałego motłochu pędzą nas po świecie. Wytrzeszczyli ślipia, rozkraczyli nogi, oparli się o biodra i śmieją się, ach, jak się śmieją...

Zapewne, widowisko nielada. Ten sobie w majtosach paraduje, kaftan czerwony naciągnął na ramiona. Inny kawałem skóry baraniej pokrywa łydki, w gobelin owinał stopy, onuczami obwiązał szyję...

Idą sobie po drogach nieznanym...

Pajace! Błazny!

Zaraz rozpocznie się widowisko. Koziołki pokazą — ten na nosie trzech innych utrzyma — ten spaceruje na głowie...

Tłuszcza się bawi —

Przerosłaby samą siebie gdyby nie plwała na strąconych bogów i nie dobijała konających lwów... Zresztą... może właśnie z tego posiewu powstaną przyszłe Duchy Niezłomne?...

MATKA. — Nie bij...

Była to prośba i bezwzględny rozkaz. Jakgdyby tak właśnie być musiało, a nie inaczej. Jakgdyby objawiła mu się tajemnica i Boga przejrzał — jasnowidzący wśród ślepych...

— Nie bij...

Czy kpi? Czy śni może i nie wie gdzie jest? Czy marzy o gajach pomarańczowych, o mandarynce i księżniczce?...

— Nie bij. Bo matka moja widzi — daleko w świecie — wszystko widzi — i płacze... A matka ci nie winna... A matki łązy są bez ceny — nie każ im płynąć...

.....

Kędyś pod niebem — o sto mil dalej — polały się łązy. Tym razem upojne, wniebowzięte...

GŁODNI. — ...Zgięci, skurczeni, jak ścierki na śmietniku, leżą na śmierdzących pryzkach. Bez ruchu — bez skargi — bez myśli —

Głodni...

Albo jak cienie — wolno, ciężko — by nie upaść — suną wokółko —

Twarze ciemne, ziemiste. — Tylko oczy — błędne, świecące — szukają — szukają...

Ręce! ręce! — obce ręce! Co w tych rękach — co w tych dłoniach?

Chleb?!

Szukają — macają — przezierają... Wszystko widzą, czują — te ich oczy błędne, świecące — szukają — szukają...

.....

Jest!

Nachylił się... Łapie, trzyma — ma...

Kość!

Trzyma mocno. Chowa, pieści...

Inni patrzą — śledzą — wzrok zastrygły — pięść się kurczy — ślina ścieka. Będą bić...

Oddaj!

Ssie i gryzie... Ssie i gryzie...
Bóg jest dobry! Bóg kochany!
Cisza — w oczach spokój — radość, szczę-
ście —
Bóg jest dobry!...

SZCZĘŚLIWA NOC. — Uczucie czegoś niewymownie dobrego, nad wyraz szczęśliwego opanowało coraz bardziej mą istotę. Przez sen — bo we śnie to było — uświadamiałem sobie, że jest mi ciepło... Błysnęła myśl, że koc niepodzielnie do mnie należy, że sąsiad, wbrew uświęconym już przez nas zwyczajom, nie stara się przeciągnąć go na swą stronę... Uśmiechnął mi się los łaskawy — nie marzęm, było mi ciepło...

Tułały się po głowie pieśni dziękczynne, serdeczna wdzięczność dla wszystkiego i wszystkich — dla Boga i ręki Jego opiekuńczej — dla poszarpanego i poszastanego koca — dla cichego i spokojnego sąsiada. A potem — sen cichy, bez marzeń i widzeń...

Rano — gdym się obudził — uderzyły mnie nieruchome i zimne, pełne nieuchwytnego wyrzutu oczy sąsiada... Utkwione we mnie — coś mówiły, coś powiedzieć chciały...

— Był martwy...

ZADŻUMIENI. — Tępo i bezmyślnie, bez wzdrygnięcia i bez strachu, bez współczucia i bez buntu patrzymy, jak codzień, kilku z pośród nas na wóz drewniany wrzucają, układają, ugniatają—i wiozą —

Wioł

Dzisiaj — numer piąty, osiemnasty, —

jutro — pierwszy, drugi i trzynasty...

Patrzymy, oczyma mrugamy, na ten czarodziej-ski wóz drewniany, jak się wlecze, drepce, trzeszczy, — jak potem wrzucają, układają, ugniatają —

Dzisiaj — numer piąty, osiemnasty, —

jutro — pierwszy, drugi i trzynasty...

Nikt się nie śmieje, nikt nie krzyknie — ani płacze, ani przeklnie. Stoimy tylko i patrzymy na klacz starą i kulawą, na wóz drewniany, połamany — jak się wlecze, drepce, trzeszczy, — jak potem wrzucają, układają, ugniatają —

Dzisiaj — numer piąty, osiemnasty, —

jutro — pierwszy, drugi i trzynasty...

GŁÓD. — ...Gdzieś to było —

— Jedli, pili.

Cały dzień, całą noc...

Jedwabna suknia księżniczki... Na niej księżycce... Świecą—błyszcą... Złotem wyszyte... Wchodzi herold — dziadowina stary... Daje znak...

...Pomarańcze... żółciutkie... soczyste...

— Jedli, pili...

Możnaby wgrzyźć się zębami i sączyć... Wolno — wolniutko... żeby na długo starczyła... Nawet maleńka... Policzona byłaby każda kropla — jak niewinne łzy dzieci. Zebrały się wszystkie u nóg Pana — wyszczebiały skargę straszną... Różowe usta dzieci szczebiocą—szczebiocą bez końca—a potem — potem...

...rosną tam przecież pomarańcze. Możnaby wgrzyźć się zębami i — sączyć wolno, wolniutko...

AD ASTRA. — ...I ponieśli. Dokąd mnie oni niosą?

Lekko, płynnie i tak cicho, że się dziwię, że nie słyszę, że nie czuję... Jak w karocy, w cztery konie zaprzężonej...

Ten po prawej — taki siwy, jak w powiatce mojej babki... A po lewej — może trochę, odrobinkę jest za duży, i zbyt gniady, odrobinkę nie do pary. Ale chyży...

Żwawo drухy! Czasu szkoda. Jeśli bardzo się zmęczycie, nic nie szkodzi, odpoczniecie. Owsa wcale wam nie skąpię, wody w źródle nie zabraknie. W kryształowym moim zamku hebanowa jest podłoga...

Byle prędzej — byle raźniej. Noc nas w drodze nie zatrzyma. Droga prosta, djablów niema i nic karku nam nie skręci.

Bacność gniady — nie dokazuj! Bo zahaczysz Niedźwiedzicę. Nikt ci z ludzi nie daruje, żeś śmiał Wielką strącić z nieba. Coby dzieci powiedziały, gdyby gwiazdki pogaszono?

I ty, siwy, nie bałamuć. Przecież w zamku ktoś nas czeka. Tylko cicho! nie gadajcie... Młody jestem, wino pijam, — dziewczę ust mi nie żałuje...

Już jesteście? Doskonale... Hej tam, strażę,
otwierajcie...

...Barak drugi? W kącie przyczaj? Nie chcę, nie
chcę — w kryształowym moim zamku hebanowa
jest podłoga...

SPOWIEDŹ. — Przynieśli nosze. Postawili... Rzucili mnie gdzieś w kąt... Za chwilę się zaczniesz...

Już się zbliża... Jakieś drogi nieznane — w górę, w dół — tam i spowrotem... Co za przestrzeń — horyzonty...

Trzeba się śpieszyć... A tak...

Gdzieś przecież będą o to pytać. Trzeba to ostatnie słowo powiedzieć. Trzeba, by ledwie przeczuła tajemnica krzykiem się stała — głośną prawdą — objawieniem... Dla wiecznego spokoju...

Powiem, że krew przelana...

A teraz — śmiało naprzód. Choćby bez powrotu...

TYFUS. — Byłoby już dobrze, gdyby nie ten jeden kamień, ta głupia cegielka. Nie można miejsca dla niej znaleźć. Ziściłoby się Wielkie Ocalenie... Łamigłówka byłaby rozwiązana...

Trudno dać sobie radę... Kręci się wszystko, huśta, rozbiega na cztery strony świata. Przez lasy... Prędko, prędko — chodzi o Wielkie Ocalenie...

A jesteście... I tu, i tam... Na tem łóżku kilkanaście małych jaźni... ręce, nogi, głowy... I tuż koło mnie tyle tych bezbronych, maleńkich istotek — tulą się... zimno im... zimno... biedne... I tam znów... Trzeba się śpieszyć, gonić, — trzeba każdą cząstkę odzyskać, bo to wszystko Ja jestem, ta sama łamigłówka — Wielkie Ocalenie...

Teraz mi znowu w głowie skaczą, skaczą... A poco człowiek ma głowę?... Płacze się to wszystko... mózg z żołądkiem, usta z brzuchem. Trzeba sobie po stokroć razy powtarzać: to jest brzuch, to jest brzuch... A z głowy wysnuwa się myśl, a z głowy...

Ah, dla Boga! Już wiem... coś wiem...

— Daleko w świecie ja mam swój domek serdeczny, domek kochany... Gdzieś bardzo da-

leko w świecie... To nic, to nic... A w tym
domku... czeka ktoś na mnie... ciągle czeka na
mnie...

Mój ty święty Boże!

REKONWALESCENCJA. — Nie śpieszę? Nic mnie nie goni — nie pędzi? Nie tułam się po bezdrożach — po światach pełnych przywidzeń i mar — wśród słońc błękitnych? Gdzie jestem?

Budowałem most przez własną niedolę i nędzę — ukończyć nie zdołałem, bo się w bezmiar rozrastał... Śmierci hymny śpiewałem — a ona — Wielka Cisza — toczyć mi kazała syzyfowy kamień po Mlecznej Drodze. Potem wkroczyć miałem na drogę ukojenia...

Gdzież więc jestem?

...Nucisz swą melancholijnie - rzewną pieśń, siostrze... Patrzysz na mnie — uśmiechasz się — palcem mi grozisz... Kazesz mi spać? Dobrze, siostrze, zamykam oczy — już śpię... Dobranoc, siostrze, już śpię...

UCIECZKA. — Za drutami rozpostarł się szeroki świat...

Skupia się energja — pochylone czoło unosi się ku górze. Inne życie nęci, woła...

Za druty!...

.....

...Wrzask, świsty, przekleństwa.

— Stój! Stój!

Błysk latarni — wydłużone, pokracczne cienie. Rumot, zgiełk pomieszanych głosów — potem rzechot karabinów...

Cisza długa, męcząca...

Zrazu tępe, ciężkie uderzenie — jedno, drugie... I jęki — zdławione, zduszone — i nic już więcej, tylko jęki i te głucho smagania, uderzenia... Bez końca... Nagle w tę monotonię wdziera się krzyk — przesywa powietrze — wyrывa się kędyś w przestrzeń, na wolność... Jeden jedyny i już ostatni — zda się radosny śpiew Wyzwolenia...

I znów cisza...

MODLITWA. — Tłoczyły mi duszę żal i ból, rozpacz żarła nadzieję — za chwilę paść miałem bezbronny i słaby. Modlić się chciałem...

Pod Twą obronę... Jak małe dziecko, które prosi o sen spokojny, o zdrowie ojca i matki—chciałem się modlić do Boga...

Złożyć ręce — błagalne oczy wzniesić ku górze —

— Ojczy nasz, który jesteś...

Tak modlić się chciałem do Boga...

Uniosłem głowę. Oczy moje padły na drut koleczasty — ślizgnęła po nim myśl — szarpnęła się — i zawisała. Zamarł cały świat...

Zacisnąłem pięści — zacisnąłem usta —

Modlić się? Tu modlitwa nie przyda się na nic...

POWRÓT

POWRÓT. — Ledwie włóczęc nogami, zziajany i zmordowany zbliżam się do mego domu. Już rozróżniam lipy i jesiony i białodrzew ogromny, który za dni dziecinnej robinsonady był i masztem rzuconego w bezmiar wód okrętu, i gniazdem bocianiem, i zamkiem rozbójniczym, i schronem przed czyhającym lwem i tygrysem. Za chwilę będę w domu...

Nareszcie...

Ileż razy myśl ma tułała się po tych kątach i zakamarkach — ileż razy najtajniejszym marzeniem było ujrzeć je i pozdrowić...

Dzisiaj — nie śpieszę... Ogarnia mnie lęk niewytłumaczony przed jasnym ustroniem mego dzieciństwa... przed samym sobą...

Staje mi przed oczyma nieskończony szereg postaci — korowód dziwny, tajemniczy, wielobarwny i zmienny. Zawierucha tysiąca obrazów, nastrojów — akordy tonów i gamy uczuć najsprzecznijszych uderzają we mnie, wstrząsają do głębi mą jaźń — i zpowrotem prowadzą ku drogom, krzyżami mogił wytkniętym. Idę zboleły i smutny, pełen nieuchwytniej tęsknoty... Błądzą po przebytych manowcach, rozdołach i ugorach — włóczę się, jak pies bezdomny i... czegoś szukam, a sam nie wiem

czego... Czuję tylko, że tu, na tych ścieżkach i traktach, pod krzyżami i kurhanami — coś ze mnie pozostało, coś, co było — mem Słońcem Jasnem — a bez czego świat mi niedrogi i obcy... Błądzą bez końca i szukam swej zguby — niepokieszony, niezmordowany i nieskończenie smutny, — szukam i znaleźć nie mogę...

.
A przede mną — o kilkaset kroków — czeka świat mej dziecinnej robinsonady — lipy, jesiony i białodrzew ogromny — i dom jasny i pogodny, wyciągający ramiona, by mnie przyjąć...

HYMN. — Nie przychodzę do Ciebie i nie proszę
Cię o nic...

Z pogranicza bytu i śmierci czerpałem moc
i wiedzę najwyższą. Wydierałem ją skurczom twa-
rzy stygnącej, oczom mgłą zasłonym, tchnieniom
przedzgonnym i westchnieniom, — dały mi ją ciała
poćwiartowane, zmiążdżone, zohydzone — trzewia
dymiące i cuchnące — głowy, nogi i kadłuby roz-
rzucone na wielkiej arenie Twego świata, wielkiego
Twego widowiska...

Nie przychodzę do Ciebie i nie proszę Cię
o nic...

Pograniczu bytu i śmierci wyrwałem melodię
najwspanialszą. Rozkołysała się we mnie — roz-
śpiewała. Kradłem ją ostatniej oczu tęsknocie,
zmarnowanym skargom i marzeniom — szumowi
skrzydeł połamanych. Tony jej — upojne, wnie-
bowzięte — i te przeklęte, zatracone — i te ledwie
przezute, tajemne — szły do mnie od wszystkich
sponiewieranych i zapomnianych ze wszystkich dróg
rozstajnych wielkiej areny Twego świata, wielkiego
Twego widowiska...

Nie przychodzę do Ciebie i nie proszę Cię
o nic...

Rozpiewał się we mnie hymn pogranicza bytu
i śmierci. Stałem się lirą jednostruną wzniosłej
wiedzy Twego świata. Szarpnij — a oddźwięczą
Ci — odpowiedzą — wszystkie ciała zohydzone — gło-
wy, nogi i kadłuby — dymiące trzewia i cuchną-
ce — jęki, krzyki i charczenia — krzyki pomsty
i rozpaczy. Szarpnij — a oddźwięczą Ci przekleń-
stwa głośnie — oddrzwi nieba sięgające — wielkiej
areny Twego świata, wielkiego Twego widowiska...

Nie przychodzę do Ciebie i nie proszę Cię
o nic...

Kołomyja (Kosaczów) — Wola-Krzysztoporska
1919 — 1920

I W POLU:

1. Krwawa droga
2. Pierwszy krok
3. Aklimatyzacja
4. Karabin maszynowy
5. Słońce
6. Cichy głos
7. Bohater
8. Dzieci
9. Ciężki sen
10. Objawienie
11. Atak
12. Pożegnanie
13. Zwycięstwo
14. Śmierć
15. Rozpamiętywania wieczorne
16. Miłość
17. Ukojenie
18. Krzyż
19. Nadzieja

II W NIEWOLI:

1. Jeńcy
2. Upadek
3. Jedna chwila
4. Pajace
5. Matka
6. Głodni
7. Szczęśliwa noc
8. Zadżumieni
9. Głód

10. Ad astra
11. Spowiedź
12. Tyfus
13. Rekonwalescencja
14. Ucieczka
15. Modlitwa

III POWRÓT

1. Powrót
2. Hymn

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 10349

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000173404